

MEA CULPA

BARBARA
RYBAŁTOWSKA
MEA CULPA

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM IV



AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE III
ISBN: 978-83-8383-191-6
EAN: 9788383831916
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-192-3

Copyright © by Barbara Rybałtowska
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

M*ea culpa!* Moja wina! Sama sobie nawarzyłam piwa i muszę je teraz wypić, nikt mnie w tym nie wyręczy – zwierzyła się przyjaciółce Kasia.

– To pech, bo ty nie znosisz piwa – roześmiała się Grażyna.

– Właśnie! I to jak! Lepiej poradź mi, jak mam o tym powiedzieć rodzicom.

– A nie da się nic odkręcić?

– Jak to sobie wyobrażasz? Dostałam pełne stypendium, miejsce w akademiku, na polonistyce bym tego nie miała. Wiesz, jakie tam było oblężenie. Odpadłabym po pierwszym roku.

– Nonsens, dlaczego z góry to zakładasz? A w ogóle to ja ci się dziwię. Tyle masz pasji i nie zamierzasz realizować żadnej z nich...

– Nie pognębiaj mnie, mówisz jak moja mama. Grażynko, myślałam, że mi pomożesz.

– Właśnie w imię przyjaźni ci to mówię. Uległaś na ślepo argumentom rekrutacji, to do ciebie niepodobne!

– Ale jak to powiedzieć rodzicom?

– Po prostu im powiedz.

Rembiszowie wrócili właśnie z wakacji w Zwierzyńcu. Kasia po egzaminach dojechała tam później. Uznała, że było wspólnie, jak przed laty. Mama z Teofilem gruchali jak dwa gołąbki,

najwyraźniej znów się w sobie zakochali. Wobec tego nie miała sumienia mącić sielanki opowieściami o swoich poczynaniach warszawskich, bo przeczuwała, że nie będą nimi zachwyceni.

Po przyjeździe na egzaminy do Warszawy wszystko potoczyło się inaczej, niż przewidywała.

Uczennice zamojskiego liceum dotarły na uczelnie w ostatniej chwili. Okazało się, że są już sławne. „Sławne”, bo ich unieważniona matura stała się sensacją w całym kraju. Dla Kasi wprawdzie przebiegła pomyślnie, ale przeżycia z nią związane nauczyły ją pokory i przekonania, że nic w życiu nie musi być pewne ani sprawiedliwe. W dodatku bez powodu poobniżane oceny, nawet z innych niż maturalne przedmiotów, już na starcie ograniczały szanse.

Przed drzwiami dziekanatu natknęła się przypadkiem na studentkę Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która zachęcała zamojskie uczennice klasy maturalnej do studiowania w swojej uczelni. Zapamiętała ją, bo zrobiła na wszystkich dobre wrażenie, no i stała się prekursorką nowej mody zetempówek na noszenie czarnej aksamitki na czerwonym krawacie na znak żałoby po Stalinie. Poza tym była bardzo ładna i miła.

– Dzień dobry – powiedziała do niej. – Przeniosła się pani na UW? Kiedy była pani w Zamościu, miałam wrażenie, że kocha pani swoją PWSP.

– Och, co za szczęśliwy zbieg okoliczności! – ucieszyła się zagadnięta. – Więc koleżanka jest z Zamościa, miło wspominać waszą szkołę.

– Ja też. Poza końcówką: podwójna studniówka, podwójna matura.

– Czytałam o tym w gazetach. I co? Ma koleżanka mimo wszystko nadzieję dostania się na uniwersytet?

– Jak wszyscy tutaj. Chociaż wiem, że nadzieja to matka głupich. Startuję na polonistykę.

– Tuutaaj??? Ależ tu jest po pięć osób na jedno miejsce. Wy z waszą wątpliwą maturą nie macie szans!

– Wątpliwą? Dwukrotnie przypieczętowaną! To nie było tak, jak wszyscy myślą. Zostałyśmy skrzywdzone.

– Prasa to przedstawiała inaczej. Nie ma podstaw do tego, żeby nie wierzyć „Sztandarowi Młodych”. Przecież to nasze organizacyjne pismo.

Już nie moje – pomyślała Kasia, a głośno powiedziała:

– Chyba jednak zadecyduje nasz rzeczywisty poziom, a nie rozgłos, jaki niesłusznie zyskałyśmy.

„Koleżanka” wzruszyła ramionami i popatrzyła na nią z po-
błażaniem.

– Dziękuję za podtrzymanie mnie na duchu – powiedziała Kasia ironicznie i zamierzała odejść.

– Ależ ja właśnie to pragnę uczynić: natchnąć koleżankę nadzieją. Wcale nie musi koleżanka ryzykować startu po indeks w tak wielkiej konkurencji. U nas, w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej, wydziały humanistyczne nie są tak bardzo obłożone. Egzaminują się o tydzień później, tak jak w uczelniach artystycznych, co stwarza możliwość zdawania egzaminu i u nas, i gdzie indziej. A w ogóle u nas...

W tym miejscu dziewczyna dosłownie wygłosiła przemówienie agitacyjne. Była świetnie przygotowana, nie można było jej tego odmówić.

Jej słuchaczka zapamiętała z tego głównie to, że uczelnia jest oczkiem w głowie towarzysza Bieruta, który twierdzi, iż: „nie ma piękniejszego zawodu niż zawód nauczyciela, który rozumie swoje powołanie”. Dotarła też do niej wzmianka o tym, że stypendia w tej uczelni są wyższe niż gdzie indziej i jest ich

więcej. W każdym razie zapamiętała tyle, ile trzeba było, żeby chwycić przynętę. Uczynna „koleżanka” poinstruowała ją, jak ma wszystko załatwić, żeby zdawać tu i tu. Kasia po prostu uznała, że podarowano jej dodatkową szansę i postanowiła z niej skorzystać.

Wysłała kartkę do domu, że pobyt w Warszawie przedłuży się o tydzień, z lakonicznym dopiskiem, iż wymagają tego egzaminy.

Kiedy załatwiła formalności w dziekanacie, „koleżanka” zaofiarowała się zawieźć skaptowane osoby na PWSP, bo oprócz Kasi jeszcze troje kandydatów postanowiło skorzystać z podwójnej szansy. W ten sposób zorientowali się, że ich spotkanie z uczynną „koleżanką” nie było bynajmniej czystym zbiegiem okoliczności, bowiem stała ona przed dziekanatem UW na nieustającej warcie, aby zainteresować młodzież jeszcze mało znaną uczelnią.

Kasia, jak wszystkie absolwentki pechowej szkoły, dopiero cztery dni wcześniej powtórnie zdała unieważnioną maturę, po czym przystąpiła do egzaminu na Uniwersytet Warszawski, ale jakby tego jej było mało, zafundowała sobie jeszcze dodatkowe egzaminy na PWSP, która mieściła się w budynkach zlikwidowanego niedawno Liceum im. Stefana Batorego przy ulicy Myśliwieckiej, w pobliżu siedziby Radia.

Można by pomyśleć, że sprawdzanie się przed komisją egzaminatorów to jej żywioł; doprawdy, pozory mylą.

Chciała złożyć papiery na wydział historii, ale wyperswadowano jej to grzecznie i tak stała się kandydatką na filologię rosyjską. Startowała bez przygotowania, jeśli nie liczyć niezbyt owocnych lekcji z języka rosyjskiego w liceum... No cóż, ryzyk-fizyk.

Zdała, o dziwo, i tu, i tam. Egzamin na filologię rosyjską był prawie identyczny z tym na polonistykę, poza niespodziewanie

łatwym zadaniem gramatycznym i wypracowaniem na poziomie szkoły podstawowej.

Zawiadomienie o przyjęciu na oba kierunki dostała jeszcze przed wyjazdem do Zwierzyńca. Z tym że na rusycystyce w PWSP zaferowano jej pełne stypendium i akademik, a na UW tylko akademik. To przeważało, nie chciała, żeby rodzice ponosili duże koszty jej studiowania; i tak będą musieli jej pomagać.

Głupio się stało, bo matka się chwali, że jest na polonistyce na UW, a ona jakoś od razu nie sprostowała tego i potem było z tym coraz trudniej. No i teraz, przed rozpoczęciem roku akademickiego, musi wyznać prawdę. Nie ma wyjścia, co będzie, to będzie. Raz kozie śmierć!

Kiedy Zofia nakrywała do kolacji, Kasia zabrała rodzeństwo i razem poszli z własnej nieprzymuszonej woli „wyspacerować” Kubę – foksteriera. Przepada za nim, tak jak wszyscy w domu, ale na jego spacerki zawsze potrzebne jej jest specjalne zaproszenie, bo wypadają dziwnie akurat wtedy, kiedy ma coś ważnego do zrobienia. Dopiero kiedy matka mówi: „Wszyscy chcieli mieć psa, a wyprowadzać go muszę tylko ja!”, robi się jej wstyd i z ociąganiem bierze smycz.

Kiedyś, gdy dopiero co wróciła z niefortunnego spotkania z Januszem, na którym się posprzeczali, zdarzyło się jej wyjść na spacer tylko z samą smyczą. Wzięła ją wtedy od Zofii, ale zajęta swoimi myślami nie zwróciła uwagi na to, co jest na drugim końcu. Jakież było jej zdziwienie, gdy po powrocie ze spacerku powitał ją w drzwiach wijący się w ukłonach rozmordany Kuba. Nie miała wyjścia, musiała z nim powtórzyć spacer. Od tej pory ustaliło się w domu zawołanie:

„A sprawdziłaś, co jest na drugim końcu smyczy?” albo: „Idź już i nie zapomnij o Kubie!”

Tym razem sama wyszła z inicjatywą, pamiętała o Kubie, chciała się zasłużyć przed ważną rozmową. Nie uszło to uwagi matki.

– Ale ci się trafiło, Kubusiu – powiedziała do psa. – Twój młodociani opiekunowie wyszli z tobą bez przymusu! Warto by to zapisać na wołowej skórce. Siadajcie do stołu. Domyślam się, że Kasia chce o coś poprosić?

– Raczej chcę za coś przeprosić, mamo.

– Proszę bardzo, przebaczam, chociaż nie wiem, o czym mowa.

– Mamusiu, tato... ja poważnie. Muszę się przyznać, że nie jadę wcale na studia polonistyczne na uniwersytecie, tylko...

– A to co znowu? Czyżbyś uległa namowom na pracę w Zarządzie Powiatowym ZMP, Kasiu? Bój się Boga!

– Ależ skąd! Jadę na studia, ale nie na polonistykę, tak jak mówiłam.

– A gdzie?

– Na rusycystykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej.

– !!!

Cisza, która zapanowała po tym oświadczeniu, pozbawiła ją resztek odwagi i gotowości do dalszych wyznań.

– Zwariowałaś? – Przerwał ciszę Teofil. – Dlaczego, u licha, rusycystyka, nic gorszego nie potrafiłaś już wymyślić?

Opowiedziała im o wszystkim: o agitacji, o swoim strachu i rozpaczliwej chęci zaczepienia się gdziekolwiek, o stypendium.

– Jestem w stanie zrozumieć, że kierowała tobą desperacja po podwójnej maturze, ale żeby wybrać filologię rosyjską! – biadolił Teofil.

Matka milczała i to było najgorsze. Była ostatnią osobą, którą Kasia chciałaby zmartwić. Uderzyło ją to, że jej partyjny

ojczym tak oburza się na słuszny wedle jego przekonań kierunek studiów, ale to było w tej chwili znacznie mniej ważne od milczenia mamy.

– Mamusiu, nie gniewaj się, chciałam wam po prostu ulżyć.

– A sobie? Pomyślałaś choć przez chwilę o sobie? Pomyślałaś, jak ty się w tym odnajdziesz? Chcesz po studiach uczyć w szkole? A jeżeli nawet, to czemu na przykład nie muzyki, a rosyjskiego?

– Bo Janusz mówił, że jeśli nie zostanę wybitną artystką, to nikt nie będzie miał ze mnie pożytku, a człowiek musi być potrzebny ludziom.

– Ach ten twój Janusz i jego nadęte komunały! Nie mogę o tym słuchać. Tyle lat uczyłaś się muzyki, była twoją pasją, i co? Albo teatr – od dziecka organizowałaś przedstawienia, myślałam...

– Ja też myślałam, że mogłabym spróbować szczęścia w szkole teatralnej, ale pani Subryniewiczowa powiedziała mi, że aby być aktorką, trzeba mieć wyraźne czarne oczy, a ja mam bładniebieskie.

– No to co, że tak powiedziała? Też mi znawczyni!

– Zosiu, daj spokój – wtrącił się Teofil – czemu chcesz z niej na siłę robić artystkę? Co to za zawód...

Kasia pamiętała, jak w czasie pobytu w Ugandzie matka grywała z powodzeniem w teatrze amatorskim i opowiadała, że teatr to ich rodzinna pasja z dziada pradziada. W odróżnieniu od innych rodziców Zofia więc nie tylko nie krytykowała ciągotek artystycznych córki, ale zachęcała ją do takich zajęć. Teofil – ekonomista, mocno stojący nogami na ziemi – z pobłażaniem patrzył na te sprawy.

– Zawód tak samo dobry, jak każdy inny – broniła córki Zofia – nie widzisz, że ona tym żyje? Chcę, żeby robiła to, co

lubi. Zresztą, czego by nie studiowała, i tak będzie robiła to, co lubi. Prościej więc byłoby, gdyby od razu uczyła się tego, czym się pasjonuje.

– Tere-fero! Tysiące ludzi ma jakieś uboczne upodobania i nie przeszkadza im to bynajmniej zajmować się tym poza pracą. Sama masz ciągotki do teatru i chcesz, żeby Kasia realizowała twoje mrzonki. Ona jeszcze nie wie, co chce robić, trzeba ją kierować. Ale filologia rosyjska... To już przesada.

– Jesteś ostatni, którego powinno to oburzać, ty, który z takim zapałem budujesz zręby socjalizmu i pogłębiasz przyjaźń polsko-radziecką, naprawdę mógłbyś...

– Lej ten jad, lej! – Teofil wzruszył ramionami.

Kasia przestraszyła się, że przez nią rodzice znowu się skłóca, bo już pojawiły się w ich oczach wrogie błyski, a przecież dopiero niedawno doszli wreszcie do porozumienia.

– Nie wiedziałam, że chciałaś, żebym studiowała na uczelni artystycznej, to znaczy nie wiedziałam, że ci na tym zależy – poprawiła się – choć... przyznaję, że nie raz mi to doradzałaś.

– Uparłaś się jak osioł. Jeśli będziesz kiedyś tego żałować, podziękuj swemu doradcy Januszowi. Rusycystyka czy polonistyka, to akurat nie najważniejsze – i to filologia, i to. Poznasz dobrze piękny język i wielką literaturę, ale rezygnacja z tego, co powinnaś robić naprawdę, jest stratą i jeszcze tego kiedyś pożałujesz.

– Nie sądzę, żeby bycie artystką dało jej w życiu satysfakcję – upierał się ojciec.

– A ja uważam, że nie masz racji, ona jest do tego stworzona, to ją uskrzydla.

Zapał, z jakim mówiła o rzekomym powołaniu córki, skłonił dziewczynę do zastanowienia się, czy aby nie ma w tym

odrobiny racji. Rzeczywiście lubiła sztukę, ba kochała wszystko, co z nią związane, ale... czy literatura nie jest sztuką?

– Dobrze, że wybrała kierunek humanistyczny, obcowanie z literaturą przynajmniej jej nie znuży – pocieszyła się Zofia, jakby odgadując jej myśli.

– No dobrze już, dobrze. Chociaż mogła sobie wybrać lepszą przyszłość, nie widzę jej w roli nauczycielki – powiedział Teofil.

– O, przepraszam! – zaprotestowała dziewczyna. – A czy nie sprawdziłam się jako korepetytorka?

Tu oboje rodzice wybuchnęli śmiechem. Rzeczywiście udzielała korepetycji dzieciakom sąsiadów z niezłym efektem – dla miłego grosza, ma się rozumieć – ale tak ją to męczyło, tak narzekała, że było to ciągłym tematem żartów w rodzinie.

– Nie będę dzisiaj o tym myśleć – powiedziała jak Scarlett O’Hara i tym humorystycznym akcentem zakończyły się spory na temat jej przyszłości.

Kamień spadł jej z serca – najważniejsze, że nie miała już nic do ukrycia i mogła w spokoju pałaszować przepyszne racuchy z jabłkami.

Nazajutrz po tej rozmowie Zofia zabrała bliźniaki do przedszkola, Kasia odprowadziła Anię do szkoły i poszła przez park na spotkanie z matką. Były umówione na targu. Po zrobieniu zakupów poszły do kawiarni „Ratuszowej” na lody.

– Jaki to pech, córeczko, jaki to pech!

– Co się stało, mamó?

– A jak mam to nazwać, kochanie, że kiedy wyrosłaś wreszcie i możemy pogadać jak kobieta z kobietą, wyjeżdżasz w świat? Będzie mi ciebie brakować.

– A mnie ciebie...

Zofia patrzyła na córkę ze smutkiem.

Kasia spuściła oczy. Ze wstydem uświadomiła sobie, że dotychczas nie pomyślała o rychłym rozstaniu. To znaczy, owszem, myślała o wyjeździe na studia, ale nie w kategorii rozstania.

Snuła marzenia o tym, co ją czeka, myślała o koleżankach i kolegach poznanych w czasie egzaminów, o tym, że będzie mogła chodzić w Warszawie do teatrów i na koncerty do filharmonii, o pełnym, jak miała nadzieję, atrakcji życiu akademickim, o którym nie miała pojęcia, ale rozstanie? Dopiero teraz problem ten, przywołany słowami matki, wyartykułowany przez nią, dosłownie ją poraził.

Przypomniała sobie nagle swój niefortunny pobyt u cioci Jani. Jakże wtedy tęskniła! A teraz zrobiło się jej wstyd, że spobiąc się do studiowania z dala od domu, myślała o wszystkim, tylko nie o tym, jak zniesie rozstanie. Pokajała się za to.

– Ależ to zupełnie naturalne, moje dziecko. Przywilejem młodości jest niecierpliwość, patrzeć w przyszłość. Żeby zaistnieć w świecie, trzeba raz kiedyś przeciąć pępowinę... A rodzice, jak to rodzice, trudno im się z tym pogodzić. Zwłaszcza takim jak ja, która...

– Ach, wiem, wiem, która „trzymałaś mnie jak szczenię w zębach, żebym przetrwała wojnę” – zacytowała żartobliwie powiedzonko matki z okresu tułaczki.

Roześmiały się obie, Zofia jednak zaraz opamiętała się i powiedziała z powagą:

– To wcale nie jest śmieszne. Należę do pokolenia matek napiętnowanych wyolbrzymionym przez wojnę lękiem o los dziecka. Dlatego, kochanie moje, jesteś mi szczególnie droga, ile bym dzieci nie miała.

W jej oczach zaszkliły się łzy, pogłaskała córkę po twarzy. Kasia przytrzymała jej rękę i także poczuła wilgoć pod powieką.

– Ty też jesteś dla mnie najważniejsza i chciałabym cię nigdy nie zawieść.

– Wiem. Ufam ci i boję się o ciebie, bo życie nie jest skłonne do spełniania wszystkich obietnic... No, ale przyszliśmy tu po to, żeby pozwolić sobie na małe szaleństwo, a nie po to, żeby się dosmucać. Co powiesz na torcik kawowy?

– Pożrę z rozkoszą!

Dni, które nastąpiły, pełne były serdecznych rozmów i przygotowań do wyjazdu. Chodziły razem na zakupy, matka szła nowe sukienki, dziewczyna ciągle musiała coś przymierzać.

– Czuję się jak panna młoda, zupełnie jakbyś szykowała mi posag.

– Co to, to nie, na to jeszcze musisz poczekać!

Jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Kasia martwiła się o to, jak matka tu sobie sama ze wszystkim poradzi. Teraz przynajmniej starała się ją w niektórych czynnościach wyręczać. Ale matka i tak wtedy bynajmniej nie odpoczywała, każdą wolniejszą chwilę wykorzystując do pracy nad jej studenckim „posagiem”.

Odkąd zaczęła nosić „dorosłe” ubrania, nie mogła pochwalić żadnego stroju matki, który na nią pasował, bo od razu chciała jej to oddać. Uszyła sobie niedawno bardzo elegancką jesionkę z granatowego unrowskiego koca. Z okrągłym dużym kołnierzem i modnie rozkloszowanym dołem. Kasia przymierzyła i świetnie w niej wyglądała. Kiedy wyraziła zachwyt, Zofia zaraz zaproponowała jej, by ją od niej przyjęła.

– Nie sądzisz, że mnie rozpuszczasz?

– Pewnie tak, ale takie są matki.

– Nie wszystkie, ty jesteś wyjątkowa.

– Dobra, dobra lizusko. A jak tam twój luby, nadal się zamartwia rozstaniem?

– W czasie ostatnich spotkań Janusz miał muchy w nosie. Stwierdził, że jeszcze nie wyjechałam, a już się od niego oddalam.

– A oddalasz się?

– Nie wiem, chyba nie, ale mniej niż on przeżywam rozstanie, bo myślę o tym, co mnie czeka w Warszawie.

To rzeczywiście pech, że jego Liceum Sztuk Plastycznych jest pięcioletnie. Gdyby był w ogólniaku, razem jechaliby na studia, a tak trzeba się będzie zadowolić listami. Przyrzekli pisywać do siebie przynajmniej dwa razy w tygodniu.

W przeddzień wyjazdu niewidoczni dla świata siedzieli pod rozłożystym krzewem jaśminu na murku okalającym ogródek parafialny, naprzeciwko drzwi do domu dziewczyny, i nie mogli się rozstać. Internat Janusza był otwarty do dwudziestej drugiej, było już dwadzieścia po dziesiątej, a on się nie śpieszył. Postanowił wciągnąć się na linie na balkon i tą drogą dostać się do swojego pokoju. Jeszcze spadnie wariat jeden – martwiła się Kasia.

Ponagliła go, żeby już szedł, bo autentycznie się o niego bała. Póki jego kolega z pokoju nie spał, mógł jeszcze zagwizdać i jakoś by mu otworzył drzwi, ale jak zaśnie, to już amen. Nawet tej ich liny nie będzie miał kto mu spuścić.

Sprawę rozstrzygnął niezawodny Kuba. Wyszedł z mamą na spacer i zaraz wywachał randkowiczów w ich kryjówce. Ucieszył się tak, jakby nie widział ich od roku.

Zofia zainteresowała się, co tak Kubę uradowało, i podążyła w stronę, skąd dochodził radosny skowyt skoczego urwipółcia. Romantyczny zakątek odarty został ze swej tajemniczości...

– A to ci niespodzianka! – powiedziała matka. – Taką piękną mieliście kryjówkę, ale nie doceniliście Kubę. Czy aby nie pora wracać do domu? Nie mam na myśli mojej córki, bo

ona jest studentką i ma prawo wracać późno, ale uczeń klasy maturalnej?

– Jestem od tej studentki starszy o trzy lata, a poza tym nasze liceum jest pięcioletnie, inaczej też byłbym po maturze – odpalił Janusz.

– Wszystko to prawda, mądralo, ale tymczasem chyba masz obowiązek powrotu do internatu o określonej godzinie?

– No właśnie, mamusiu, powiedz mu. On jest spóźniony i mówi, że będzie się wspinać po linie na pierwsze piętro, a jak spadnie?

– Znakomity pomysł. Szkoda tylko, że nie pozwolę ci go zrealizować. Skoro już Kuba wyciągnął mnie z domu, przypilnuję osobiście, żebyś wszedł do swego lokum normalnie – przez drzwi.

– Ale są zamknięte, musiałbym dzwonić, tłumaczyć się, no i oczywiście ponieść konsekwencje...

– Trudno. Poniesiesz. A co, uważasz, że moja córka nie jest tego warta?

– Jest warta wszystkiego, ale...

– Są jednak jakieś „ale”, no, no. Kasiu, ja bym na twoim miejscu to przemyślała.

Nawet w świetle latarni ulicznej widać było, że Janusz ma czerwone uszy. Był tak zawstydzony i skrępowany, że sprawiał żałosne wrażenie. Kasia z ulgą przyjęła deklarację pomocy ze strony mamy. Wiedziała, że ona coś wymyśli, żeby Janusz nie poniósł zbyt dotkliwych konsekwencji. Ufała jej, chociaż widać było, że matka świetnie się bawi ich kosztem.

– No, dobra. Idziemy. Im wcześniej, tym lepiej – powiedziała.

Janusz szedł jak na ścięcie. Kasia ukradkiem ścisnęła mocno jego dłoń, żeby dodać mu otuchy.

Przed bramę internatu dotarli dwadzieścia minut przed dwudziestą trzecią. Matka zdecydowanie nacisnęła przycisk dzwonka. Ręka Janusza lekko wysunęła się z dłoni dziewczyny. Czyżby zamierzał dać drapaką?

Ciec widać zdołał już przysnąć, bo jakoś długo nie reagował na dzwonek. Po trzeciej próbie wreszcie rozległo się człapanie i rozczochrana głowa ukazała się w oszklonym świetliku drzwi. Musiał dostrzec tylko twarz odprowadzającej, bo odsunął szybkę i zapytał:

– Czego pani sobie życzy? Tu jest internat dla chłopców. Jeśli jest pani matką albo kimś z rodziny, to proszę przyjąć do wiadomości, że odwiedziny są tylko do godziny dziewiętnastej.

– Proszę otworzyć, przyprowadziłam waszego pensjonariusza.

– Wszyscy nasi chłopcy już śpią, proszę pani.

– Chyba nie wszyscy, bo jeden z nich przyszedł tu z nami.

Ciec wyjrzał przez okienko. Ujrawszy Janusza wprawdzie otworzył drzwi, ale tylko trochę, i powiedział:

– To zmienia postać rzeczy. Ponieważ chłopiec dzielący z nim pokój okłamał mnie, kiedy robiłem obchód sypialni przed zamknięciem bramy, będę zmuszony zawiadomić wychowawcę.

– Proszę tego nie robić. Janusz był u nas, debatowali o sztuce z moim mężem, zagadali się, czas leciał szybko. Kiedy zorientowaliśmy się, że jest po dwudziestej drugiej, postanowiłam chłopca odprowadzić i usprawiedliwić – kłamała jak z nut.

– Niestety, jestem zmuszony... – powtórzył ciec, usiłując zamknąć drzwi.

Matka pociągnęła za nie, żeby do tego nie dopuścić, a Kuba widząc, że jego pani ma odmienne zdanie niż jej rozmówca,